Tygodnik

10 Kwietnia. — 15. — 1819.

Szczęśliwy kto wdzięk wraz z pożytkiem złączył!
Krasicki wiersz przedostatni Myszeidy

ARACHNE i MINERWA.

Ustęp z pieśni VI. Przemian Owidjusza.

Dziewięciu siostr śpiewania słucha Pallas chciwie,
Równie chwaląc gniew słuszny jak i piękność w śpiewie.
„Dobrze chwalić, lecz trzeba iżby nas chwalono,
Skarćmy — rzekła — Arachny dumę niezniesioną."

Arachne której prace po świecie słynęły,
Mniema że już Minerwę przewyższyła dzieły.
Nie z rodu, nie z pradziadów dobiła się chwały,
Wszystko jej własna praca i pilność zjednały.

Idmon ojciec Arachny zgęszczone tkał sukna,
I purpurą wełniane umiał farbić włókna,
Równej sobie za żonę dostał był kobiéty,
Ale Arachne wzniosła ich ród pospolity.
Do niej i z państw ościennych zjeżdżali się tacy
Co chcieli jej cudownej przypatrzyć się pracy.
Dla niej rzucały Nimfy winne góry Tmolu,
Dla niej rzucały Nimfy nadbrzeża Paktolu.
Nietylko nad jej dziełmi wszyscy się unoszą,
Przypatrywać się pracy już i to roskoszą.
Czy grubą jeszcze wełnę do rąk swoich chwyci,
I zręcznemi palcami rosprzędza ją w nici.
Czy ją skręca, czy zwija, czy równia ją letko,
Czy rzucając czółenkiem, tka robotę wietką,
Myślałbyś że Minerwa jest jej uczycielką,
Lecz niechce tego przyznać przez dumę zbyt wielką,
„Niech przyjdzie walczyć ze mną — rzecze zzuchwalona —
Wszystkim karom się poddam, jeśli mnie pokona".

Pallas starej niewiasty postawę przybiera,
A udając że siły na kiju podpiera,
Tak mówi do Arachny: „Sławna sztuką rzadką
Słuchaj Arachne! starość doświadczenia matką.
Że przewyższasz śmiertelnych z tego się chwal śmiało,
Ale nie śmiej z Bogini porównać się chwałą.
Może cię za to skarać; wyznaj przewinienie,
A przez wzgląd na pokorę zyskasz przebaczenie.

Słyszy radę Arachne i zmarszczywszy czoła,
Rzuca robotę, rękę ledwie wstrzymać zdoła,
A z pogardą i z gniewem w tym rzekła sposobie:
„Babo! czyliż wiek stary mózg pomięszał tobie,
Jakto źle gdy kto żyje zbyt długo na ziemi,
Córkę albo synowę darz radami twemi;
Ja rad nie potrzebuję a tym mniej od ciebie,
Nie zrowna mi Bogini chociaż mięszka w niebie,
Czemuż sama nie przyszła? nie śmie walczyć ze mną.

„Przyszłam — rzekła *Bogini* — postać nieprzyjemną.
Starej niewiasty zrzuca, a przybiera bożą,
Nimfy przed nią klękają, Nimfy się pokorzą;
Sama tylko zastraszyć nie da się dziewica,
Wstyd wprawdzie ją zrumienił, lecz i zniknął z lica.
Tak rozżarzone niebo skoro błysną zorze,
Blednie gdy słońce w górne wzbije się przestworze.

Arachne z utęschnieniem oczekuje próby,
Nie wie że dzień tryumfu będzie dniem jej zguby.
Natychmiast do jej życzeń Bogini się skłania,
Już jej nienapomina, ni zwleka wyzwania.

Siadają do warsztatów biorą się do dzieła,
Każda na ramę, cienkie nitki naciągnęła,
Rozdziela je grzebieniem, a na sam początek
Czółnko na które inny zaczepiono wątek
Przez rozdzielone nitki zręczna ręka miota,
Potem zbijana płochą wzmacnia się robota.

Obie się śpieszą; szaty ciężkie zrzuciły,
Czas im schodzi pod pracą i zdaje się miły.
Tkają nitki w Tyryjskim namoczone soku,
A lekki odcień, pracę uprzyjemnia oku.
Tak gdy o chmurę z deszczem słońce się odbije,
I przestwór niebios pasem szerokim pokryje;
W tym pasie jaśniejących kolorów tysiące,
Jak po brzegach obudwu zdają się różniące,
Jak przy sobie jednakie, jak wprzechodzie cudne,
Tak Arachne odcienia umie dawać trudne.
Złoto przeplata nici, jakby boską siłą
Przypomnienie dzieł sławnych na płótnie ożyło.
Pallas maluje igłą Cekropa siedlisko,
Gdy się spierała z Marsem o Aten nazwisko.
Wpośród dwunastu niebian, na wyniosłej skale,
Najpotężniejszy z Bogów zasiada na skale.
Zdradza Rządcę pioruna postać panująca,
Władca morza w opokę swym trójzębem trąca,
Leci rumak ognisty z opoki strzaskanej,
I Neptun już się zdaje być pewnym wygranej.
Siebie maluje Pallas z potężną Egidą,
Pierś uzbraja puklerzem, a dłoń swoją dzidą.
Uderza w nią o ziemię; powoli z pod ziemi,
Wzrasta drzewo oliwne z owocami swemi.
Przyznaje jej zwycięztwo Bogów podziwienie.
Pallas dumnej Arachnie chcąc dać napomnienie,
Jak równą jej zuchwałość karali niebianie,
Dawszy tło różnofarbne na odmienne tkanie,

Na czterech rogach cztery wystawia przykłady,
Tu Rodopen barczysty, dalej Hemus śniady
Przemieniają się w góry, mocarze zuchwali,
Bogów cześć i Bogów imię przywłaszczali.
Tu Krolowej Pigmeów smutny los wystawia,
Pokonywa ją Juno i zmienia w żurawia.
Nie zganiłaby dzieła nawet zawiść blada,
Widzi tryumf Arachny potężna Pallada,
Drze tkanie które Bogów zbrodnie malowało,
Uzbraja się czółenkiem, a karząc zuchwałą,
Pokilkakroć uderza w lice nieszczęśliwej,
Nie może znieść dziewica hańby tak zelżywej,
I życie ochydzone skrócić chce przepaską.
Minerwy litość nie jest dla Arachny łaską.
Niech żyje — rzekła — ale nim życia dokona,
Niech wiecznie na swej pracy będzie zawieszona,
Ta kara na najdalszych jej wnuków się zléwa,
Rzekła, z ziół których znana potęga szkodliwa,
Sok wyciśniony leje na Arachny oczy,
Zaraz jad skórę zdziera i ciało jej toczy.
Coraz się zmniejsza głowa, zmienia się kształt cały,
Zamiast rąk długie tylko nogi jej zostały.
Żołądek jest największy, nić snuje z żołądka,
Nie jest to już Arachne lecz jeszcze jest prządka,
I każe z Pigmejami wieczne zwodzić boje.

W trzecim końcu maluje przekształcenie twoje
Antygono zuchwała! od bogów Królowej
Przemieniona, w postaci ujrzałaś się nowej,

Choć ojciec twój był Królem, Troja mu poddana,
Juno za zbytnię pychę zmienia cię w bociana.

W ostatnim rogu rozpacz wystawia Cynira,
Leży w progach świętyni, szaty swe rozdziera,
Martwe głazy kościoła przyciska do łona,
Bo w głazy, córki jego zmieniła Junona.

Wreście godło pokoju oliwa wesoła,
Tkania wieniec, obrazy otacza do koła.
Tam Arachne Europy porwanie wyszywa,
Myślałbyś, że byk żywy, że woda prawdziwa.
Europa ku niknącej obraca się ziemi,
Z żalem z towarzyszkami zda się żegnać swemi,
Niepewna drżącą nogę wznosi nad bałwany,
Dalej wystawia inne Jowisza przemiany,
W postaci orła piękną Asterję porywa,
Jako łabędzia *L*eda przyjmuje go tkliwa,
Jak Satyr bliźniętami Antjopę obdarza,
Jak Amfitrjon drugi Herkulesa stwarza,
Złoty deszcz przy Danai, ogień przy Eginie,
Przy Memnozynie pasterz, wąż przy Prozerpinie.

Gdzieindziej twe Neptunie maluje przemiany,
W postaci byka jesteś od Arny kochany.
Zmieniony w Enipeja Aloidy rodzisz,
Jak baran, Teofany niewinność uwodzisz.
Kocha cię złota Ceres w postaci rumaka,
Melante jak Delfina, Meduza jak ptaka.

Umie trafić twarz osób i miejsc położenie,
Tu Apollo przybiera wieśniacze odzienie,
To przemienia się w sępa, to stroi lwią grzywą,
To jako czuły pasterz kocha Issę żywą,
Bachus dla Erygony bierze postać grona,
Saturn zmieniony w konia wydaje Chirona.
W około swego tkania dała brzeżek wązki,
Na nim wyszyła kwiaty i bluszczu gałązki.

* * *

BEN—GRYANAN.

Powieść Kaledońska

(Ciąg dalszy).

W pośród tych chwil przyjemnych, które Maklod kształceniu swojej Celestyny poświęcał, przejmowała go nieraz bojaźń, gdy pomyślał, że wkrótce powołaniem jej będzie kochać i być kochaną. Szczęśliwy dla kogo ta piękność kwitnie! mówił do siebie, lecz więcej żadna myśl, żadna nadzieja, nie miała przystępu do jego duszy.

Celestyna skończyła rok piętnasty. Serce jej było wolne, życie spokojne. Ale ta spokojność wkrótce przerwanǫ została. Ojciec jej żǫdał by oddała rękę bogatemu osadnikowi. „ Ah nieznam tego człowieka" — zawołała ze drżeniem.

Maklod zmartwiał na tę wiadomość. Wyszedł na brzeg morski by nabrać męztwa i rady. Straszna walka powstała w jego sercu. Czy Celestyna może być twojǫ? Porównał swoje trzydzieści ośm lat z jej piętnastoma. Uważał że do tych czas był jej ojcem. Możeż córka stać się małżonkǫ? Ale miłość pokonała wszystko, a piękna nadzieja przeniosła go w krainę szczęścia. Wrócił do Celestyny. Zastał jǫ łzami zalanǫ. Zapytała go z żalem, czemu jǫ teraz opuścił. Ojciec był u niej. Wystawiał szczęście posiadania bogactw, a widzǫc opór córki odszedł z niechęcią, a prawie rozgniewany. Znam tylko ciebie — dodała podajǫc rękę Maklodowi — Kocham tylko ciebie. Wstaw się u ojca mojego."

Maklod nie mógł się dłużej wstrzymać. Ścisnǫł jǫ i zawołał: „ Bǫdź mojǫ Celestyno! pójdź ze mnǫ do mojej ojczyzny!" Lecz Celestyna odwróciła się z przestrachem. „ Proś mego ojca żebym mogła sama wybierać. Serce moje jeszcze nikogo tak niekocha, jakeś mię uczył, że kochać powinno by się na wieczne śluby odważyć".

Zniknęły piękne nadzieje. Maklod stanął jak piorunem uderzony. Zakrwawiło się jego serce, a szczęście życia na zawsze zniszczone.

Dawniejsza miłość matki była tylko w Maklodzie przemijającą skłonnością i wkrótce zagasła, ale miłość córki tylu lat przeciągiem wzmagana, stała się straszną namiętnością. Nie znał jej Maklod w czasie szczęśliwej spokojności, dopiero chwila straty, okropnie uczuć ją dała. W pierwszym zapale nie chciał widzieć tej, która tyle starań i trudów odpłaciła mu wieczną zgryzotą, ale wkrótce musiał wyznać że była niewinną. Duma dokonała reszty, i dodała mu odwagi. Poszedł jak zwykle do Celestyny. Z poruszeniem, lecz nie bez obawy zbliżyła się do niego, ścisnęła za rękę i rzekła: „W tych chwilach nieszczęśliwych, kiedy wszystko się na mnie sprzysięga; czy zechcesz być dłużej moim ojcem, moim przyjacielem!” „Szczerze poświęcę się tobie, — odpowiedział — póki będę mógł” — dodał słabszym głosem. — I w istocie tyle był panem serca swojego, że ciągle ją odwiedzał, i nie przestał tych nauk, które jej dawał. Starał się często udawać wesołość, ale to go jeszcze smutniejszym robiło. Mimo wzajemnego ich przywiązania, nie było dla nich wesołej ni spokojnej chwili. Długo trwać to nie mogło. A wkrótce mocne osłabienie podało mu upragnioną sposobnosć poprzestania smutnych odwiedzin.

Nie zniosłaby tego Celestyna, by od razu straciła swojego nauczyciela, ale powoli przywykała do tego rozdziału. Przeciwnie dla Makloda to powolne konanie jedynych jego roskoszy, było tem smutniejszem. Co tydzień rzadziej widział Celestynę, widział, i to najmocniej go bolało, że i ona bez niego żyć potrafi. Wreszcie na jednę tylko godzinę wieczorem przychodził. Czytali razem poetów których Celestyna bez niego zrozumieć nie mogła. Nie mógł przewieść na sobie, żeby i tej godziny się pozbawić.

Dobroczynna choroba pozbawiła go cierpień, których i w tych chwilach doświadczał. Celestyna dawała mu coraz większe dowody przywiązania swojego. Listy od niej, rzadsze owoce i kwiaty, budząc się znajdował w swojej izdebce. Jakże mógł zapomnieć smutku swojego i zdrowie odzyskać?

Cała osada pozbawiona została służby Bożej, bo i tej pracy mimo wszelkiego oporu lekarz Maklodowi zabronił. Wszyscy upatrywali przyczynę tak nagłej słabości w tęschnocie za ojczyzną, dla tego wyrobili mu miejsce Pastora w Kaledonji. Nic o tych staraniach Maklod nie wiedział, przeto nowe swoje przeznaczenie przyjął jako powołanie wyższej władzy. „Idę — zawołał — idę za twojem skinieniem dobry ojcze! a jeżeli do ojczyzny powrócę bez duszy i serca, znajdę przyjaciela mojej młodości, znaj-

dę moje spokojne góry i wytchnienie po tylu cierpieniach".

Niechciał już widzieć Celestyny, zajął się urządzeniem swoich rzeczy, a kiedy wszystko co miał wziąść z sobą przeniesiono na okręt który nazajutrz rano miał odjeżdżać, usiadł w izbie swojej i z żalem spoglądał na ściany nagie, na osierociałe miejsca jego szczęścia. Wtem przyniesiono mu list od Celestyny. Dowiedziała się o jego nowem przeznaczeniu, zaklinała go żeby się raz jeszcze z nią widział, jeżeli jej spokojność jest mu miła, bo przez odjazd bez pożegnania, dałby jej poznać że się na nią gniewa. Niemógł jej niczego odmówić. Przedsięwziął jak najraniej iść ostatni raz do niej.

Dnieć zaczynało. Maklod bezsennie noc przepędziwszy, wybierał się do Celestyny, gdy przybiegł posłaniec z okrętu, donosząc że wiatr jest pomyślny, że jednej chwili zwlec nie można. „Tak chce niebo" żałośnie westchnął Maklod, siadł i te słowa napisał:

Maklod do Celestyny.

„Chciałem cię jeszcze raz do serca przycisnąć! Niebo inaczej zrządziło. Niegniewam się na ciebie Celestyno! Przyniosłaś mi najpiękniejsze owoce. Idąc za mojem powołaniem oddalam się na zawsze od ciebie, ale twój obraz będzie mi towarzyszył, w dale-

kiej podróży i w górach samotnych. Żyłem dla ciebie. Zostałaś cnotliwą. Będziesz nią zawsze, to jest moją pociechą. Bądź szczęśliwą i niezapomnij, że mam jednę jeszcze nadzieję, mam nadzieję że ciebie zastanę tam, zkąd twoja piękna dusza pochodzi. — Bywaj zdrowa!

Do tego listu dołączył książki które dla niej przeznaczył. Gdy przybył do okrętu puszczono się w drogę, ale jeszcze kotwicę ciągniono do góry, już Celestyna w porcie stanęła. Skoro list Makloda odebrała, pobiegła do jego mięszkania ztamtąd do portu. Białą chustką dawała znak, ale już okręt odpływał, a głos tak daleko niedonosił. — Długo jeszcze powiewała jej chustka. Patrzał na nią Maklod przez szkło przybliżające i jeszcze patrzał, choć już dawno wszystko zniknęło. W ten czas zamknął się w swojej izbie, i w słowie Bożem szukał pociechy. Wtem burza powstała na morzu jak w jego sercu.

Wiatr był gwałtowny. Okręt płynął z bezprzykładną szybkością. We dwa dni ujrzeli brzegi Wielkiej Brytanji. Maklod udał się do Edynburga, nadzieja oglądania mnie przyśpieszyła jego kroki, ale nie zastał mnie tylko mego ojca. Ja wtenczas byłem w jnnej części świata, w służbie kompanji Ostindyjskiej. Dopiero w pięć lat po powrocie Makloda wróciłem do Edynburga.

Mòj ojciec opowiedział mi ile mój przyjaciel ubolewał nad tem, że mnie nie zastał; jak był blady i osłabiony. Maklod kazał sobie pokazać pokoik w którym mięszkałem. Widział tu wszystko com miał od niego na pamiątkę, i z wzruszeniem poznał jak blisko mnie obchodził. Między innemi wisiał na ścianie obraz przepaści między nowem a starem miastem z żelazną kratą, gdzieśmy się ostatni raz żegnali. Pod niem ołówkiem napisał Maklod: „Powracaj przyjacielu i przybywaj między moje góry. Będę za tobą tęschnił, póki nie umrę".

Po długim obiegu i rozlicznych przypadkach powróciłem do Edynburga. Te ostatnie słowa, które ujrzałem ręką mego przyjaciela napisane, były dla mnie świętem powołaniem. Postanowiłem wyszukać go i ruszyłem ku Dubarton, w towarzystwie jednego służącego. Po lewej ręce płynęła rzeka Loch Lomond. Wiele już kraju zwiedziłem, ale nigdzie nie uderzyło mnie tyle dzikich piękności natury. — Tylko myśl o celu mojej podróży mogła mnie oderwać od widoku tych gór i skał wyniosłych, tych zwalisk odwiecznych zamków, świadków dawnej wielkości Kaledończyków. W Inwerary zostawiłem pojazd i pieszo z przewodnikiem puściłem się dalej. Okolica coraz nierówniejsza, co krok skały sterczące i przepaści niezmierzone. Już na miejsce osadnych włości, samotne chatki kiedy niekiedy widzieć się

dawały; czasem ślad drogi zupełnie ginoł. Nieraz podczas mocnej burzy na słabych czółnach przeprawiać się musieliśmy przez jeziora, któremi kraj ten jest przecinany. Ale tę ostrość żywiołów wynagradzała ludzkość i gościnność mięszkańców. Akcent im właściwy, który od Makloda przejołem, podwajał ku mnie ich zaufanie i przychylność. Spokojnie i bez obawy między nieznajomemi cudzoziemcami noc przepędzałem, a nazajutrz skoro pierwszy świt nieprzejrzane mgły rozrzedził, udawałem się w dalszą drogę. Często ciemne obłoki otaczały gór i skał wierżchołki, a wtenczas uczułem dla czego poezja Bardów tylko w ponurej szczytności i krwawych obrazach a nie w weselszym objawia się widoku.— Nieraz ja sam w zgęszczonych chmurach widziałem cienie dawnych rycerzy, widziałem jak powstawały i nikły. Na pustych łanach wznoszą się wysokie Karny, mogiły dawnych bohaterów, koło których ile razy gór tych mięszkaniec przechodzi, zawsze jeden kamień do ułożonego stósu przyrzuci. Przewodnicy moi nazywali je kamieniami Ossjana, bo wszystko cokolwiek wielkiego w tych górach ujrzałem, wszystko wierne podanie Ossjanowi przypisuje. Podobne stósy zowią także kamieniami pojedynkowemi: *Mak - Brolchins - Klach.* Nie wiedziałem jak się zowie Parafia mojego przyjaciela, musiałem więc się udać do Lairda Maklodów. W całej podróży zastałem wszędzie największe ubostwo, prostotę obycza-

jów, rolnictwo w kolebce, mięszkania w samotnych chatkach. Nieraz widziałem młode dziewczyny lejące mleko na pewne kamienie, które niegdyś poświęcane były czci bóstwa *Gruachach*. Pokazywano mi szkła trójkątne z wyrżniętą na nich postacią węża, *Glaje-Naid* zwane, które mają przynosić szczęście swojemu posiadaczowi, i wszelkie choroby uzdrawiać. Wreście przez najsmutniejsze pustynie, udałem się koło góry *Ben-Bryswal* (1) do *Dunwegan* mięszkania Lairda Maklodów.

Nie zastałem go w domu, ale rządca tego zamku, przyjął mnie z największą uprzejmością i z własnej woli osobliwości miejsca pokazał.— Zaprowadził mnie do *Anaid* miejsca w którem dawni Druidowie niegdyś służbę Bożą odbywali. Miejsc tych jest kilka w tym kraju, a w nich to jest najosobliwszem, że jednakowe muszą mieć położenie. Nad zbiegiem dwóch rzeczek; wśród bagna, leżą dwa pagórki, jeden ku wschodowi drugi ku zachodowi.— Mur jest prowadzony od jednej wody do drugiej. W środku trójkąta jest czworokąt z sześcianów.— Przy wchodzie zwaliska dwóch budowli. Mur jest wałem otoczony. Droga prowadząca do trójkąta, ginie w bagnie.

(1) Ben znaczy skalistą górę. Ma niejaki związek z dawnem Angielskiem słowem Pen, Hiszpańskiem Penna, Portugalskiem Pena, i oznacza dawne pokrewieństwo ludów północnych z południowemi.

Ale daleko milszym był dla mnie widok owej czarownej chorągwi, o której mi mój przyjaciel w swojej powieści wspominał. Wyobraźnia moja w złotej postaci nakreśliła mi jej obraz, a nawet prosta dzida z kawałkiem starego płótna, którą mi pokazano nie zniszczyła pierwszego wyobrażenia. Pożerałem oczyma dębowe tarcze wołową skórą obite, wojenne topory, łuki i miecze rozstawione w obszernej izbie. Całą noc marzyło mi się o Lauglanie. Skoro światło dzienne wciskać się zaczęło do mojej komórki, obudził mnie przewodnik, donosząc iż dowiedział się jak zowią to miejsce, w którem się mój przyjaciel znajduje. Z radości zapomniałem pożegnać dobrego mojego gospodarza, a kiedy słońce wschodziło już daleko, byłem za *Donwegan*.— Nad wieczorem ujrzeliśmy dwie samotne chatki pod wysoką górą leżące. Miały graniczyć z parafią Maklода. Chciałem natychmiast iść dalej, ale gospodarze moi nie chcieli mnie prowadzić, zapewniając iż w nocy nie wstąpią nigdy na *Ben-Kailich* górę starej czarownicy, przez którą trzeba było przechodzić. Musiałem uledz. Dzienne unużenie zamknęło mi wkrótce oczy, ale skoro świtać zaczęło, zawołałem przewodnika mojego. Odpowiedział mi że jeszcze nie czas. Zniecierpliwiony prosiłem właściciela chatki w której nocowałem żeby szedł ze mną. Długo wstępowaliśmy do góry. Na skalistym nagim wierzchołku droga była coraz trudniejsza. Nic nie wi-

działem do koła, oprócz sterczących wierzchołków tysiąca skał, żadnego śladu ludzkiego mięszkania, ani żyjącej istoty.

Usiadłem na ogromnym stosie kamieni, pod którym jak powiedział mój nowy przewodnik, ma być pogrzebaną olbrzymia niewiasta, którą Fingal zabił. Błędne moje oko szukało miejsca spocznienia. Daremnie! wstałem, poszedłem dalej, zapytałem się przewodnika czy dobrze idziemy. „Nie, — odpowiedział — znam ja dobrze drogę, ale czarownica omamiła mnie, zbłądziliśmy" Wymieniał mi wszystkie góry do koła, ale nie mógł poznać się z miejscem. Na nagich skałach głucho tętniły kroki moje. Coraz mocniej zbierały się chmury i w tysiączne przelewały się postaci. Już słońce zniknęło nam z oczu. Mój przewodnik zaczął się mięszać, nareszcie wyznał że zupełnie nieznа drogi. Próżno wznosiliśmy oczy ku gwiazdom, szukając przyjaźnego promienia, coby nam drogę mógł wskazać. Z trudnością utrzymaliśmy się na osłabionych nogach. — Przewodnik kazał mi usieść, sam zaś poszedł szukać drogi. Czekałem godzinę na niego, czekałem dłużej. Naprożno! sam więc pozostałem.

Wtenczas dopiero człowiek sobie jedynie samemu zaufa, kiedy wszelkiej obcej pomocy jest pozbawiony. W tym stanie byłem ja. Sam oddzielony od wszystkich ludzi, porwałem się, a pamiętając

którą drogą poszedł przewodnik, puściłem się zupełnie przeciwną. Nieprzytomność jego przekonywała mnie że musiał zabłądzić. Godzinę szedłem na domysł. Z bojaźnią widziałem przybliżanie się zmierzchu. Ale na samym odejściu raz jeszcze obejrzało się słońce, a czerwone jego promienie dały mi widzieć miejsce gdziem się znajdował. W około głucha natura. Za mną wznosiła się skała z owym ogromnym grobem czarownym. Nawet i samotne drzewka tu nie rosły, tylko mech w nierównych kępach gdzie niegdzie się rozpościerał. Już się poświęciłem noc w tym miejscu przepędzić, gdy nagle w dolinie pod zagięciem skały chatę spostrzegłem. Nic niewyrównywało mej radości. Wesoło ruszyłem ku niej. — Gdym bliżej przystąpił, ujrzałem przy niskich drzwiczkach siedzącego starca z łysą głową. Przed sobą trzymał prostą arfę. Nucił pieśń którą już zdaleka poznałem. Często mi ją Maklod śpiewał, ale dreszcz mnie przeszedł. Była to pieśń grobowa. Wzruszony śpiewałem z nim. Starzec obrócił się ku mnie: poznałem rysy Makloda. Musiał być jego ojcem. — Porwałem go za rękę. „Gdzie jest twój syn? — zawołałem — Nóciłeś jego pieśń ulubioną. Z dalekich stron przybyłem do mojego przyjaciela. Powiedz gdzie jest?" — Starzec długo na mnie spoglądał, wreszcie rzekł: „Ty jesteś Edward. Mój syn Lauglan zapewnił mnie, że kiedyś przyjdziesz". „Gdzież, gdzież jest Lauglan?" Starzec podniósł rękę ku nie-

bu i żałośnie rzekł: „Tam". Oddawna smutne przeczucie kazało mi się tego spodziewać, jednakże na te słowa nie byłem panem mojego uczucia. „Pójdź do mej chatki — mówił dalej starzec — Pisał on dla ciebie czego ja czytać nie umiem. Tęschnił on za tobą, jednakże często mi mawiał, że przyjdziesz poksiążkę którą dla ciebie zostawił". Wszedłem do izby. Drzewo rodu Makłodów wisiało na ścianie. Byłem tu jak w domu, nic nie było dla mnie obcem, wszystko jak mi Maklod opisał; ale najdroższą jego pamiątką była książka, którą dla mnie napisał. Był to dziennik jego życia, aż do ostatniej chwili. Ze łzami żałosci najsłodszym wspomnieniom oddany, otworzyłem książkę. Starzec ścisnął mnie za rękę, łzę jednę otarł z powieki, i rzekł do młodej kobiety która właśnie weszła do chaty: „Przygotuj wieczerzę". Opowiedział mi iż to jest żona jego drugiego syna Ryszarda, który niegdyś będzie panem tej chatki. Matka umarła nim Maklod powrócił. — Młody chłopiec i dziewczynka, dzieci Ryszarda ożywiały samotną chatkę, przy gołym drewnianym stole siedliśmy do nędznej wieczerzy. Nikt nie wspomniał o Lauglanie; wkrótce przyjęło mnie łoże mchem wysłane. Unużenie ciała przemogło wzruszenie duszy, obudziłem się dopiero gdy już wszyscy powstawali. Wziąłem dziennik Lauglana i wyczytałem to com wyżej opowiedział.

Gdy mnie Maklod w Edynburgu nie zastał, ze smutkiem poszedł dalej złudzony w nadziei, która dotąd była jego pociechą. Wiedział że przyjdę do niego skoro powrócę z zamorza, ale bał się żebym za późno nie wrócił. Przystąpił do nowego powołania, jako człowiek który w dopełnianiu swych powinności jedynej szuka pociechy, kiedy utracił to wszystko co mu było miłem. Jego cichość, szanowne postępki, osobliwie dobroć serca, zjednały mu miłość całej parafji. Z mocniejszem uczuciem umiał mówić o szczęściu przyszłem, bo w niem pokładał całą nadzieję. Czuł różnicę między życiem ukształconego świata, a tych gór spokojnych wprawdzie, lecz samotnych, przecięż nie pragnął wrócić między ludzi. W książkach znajdował pożądane towarzystwo. — Tak byłbym go może jeszcze zastał spokojnie wykonywającego święte obowiązki, gdyby aż do tych gór nieprzedarła się smutna wiadomość. Przed wyjazdem Maklod prosił swego następcy, żeby mu doniósł jak się będzie Celestynie powodzić, i ten nazbyt wiernie dopełnił woli jego.

Celestyna poszła za owego bogatego człowieka, który wtenczas drugi raz się jej oświadczył, kiedy jej rodzice nieszczęśliwym przypadkiem straciwszy znaczną część majątku, w małżeństwie tem jedyną nadzieję upatrywali. Celestyna była nieszczęśliwą. Wszyscy o tem wiedzieli, którzy lub znali

jej smutek, lub zazdrosny i gwałtowny umysł jej męża. Żyła strzeżona jak dziecko, a przepych co ję otaczał, nie wynagrodził jej cierpień. Całę ucieczkę znajdowała w naukach i dwakroć już wspominała przed następcę Makloda o szczęśliwych czasach, w których kochanego nauczyciela miała przy sobie.— List ten posłany był do Lairda Maklodów; w sześć miesięcy otrzymał go mój przyjaciel.

„I ona nieszczęśliwa! — zawołał Lauglan — Oto sę owoce życia mojego! Oto los cnotliwej istoty!" Skargi napełniały jego dziennik. Treść jego była coraz smutniejszę. Życie mu było ciężarem odtęd jak się dowiedział, że Celestyna jest nieszczęśliwę. Tęschniła za nim! Gdyby była za nim poszła! Żałość ścisnęła jego serce. Ukrył się w chatce ojca swojego, pisał i wysokie góry odwiedzał. Tylko dla służby Bożej udawał się na miejsce przeznaczenia swojego. Opowiadał ojcu o ludziach z któremi żył dawniej, o mnie często, o Celestynie nigdy. Później zamknęł się w rodzinnej siedzibie, złożył swój urzęd i rzadko miewał nauki w kościele. Zapuszczał się coraz dalej w okoliczne góry, a kiedy się burza zebrała, wtenczas wstępował na najwyższe skały, a wpośród świstu wiatrów, szumu deszczu, grżmotów i błyskawic, spokojniej biło jego serce, bo się czuło w pobliskości Najwyższego. Nikt mu nie towarzyszył prócz jego synowca dziesięcioletniego

chłopczyny. Nad wszystkie góry lubił Maklod pobliską zwaną *Ben-Gryanan*, gdzie oczy jego widokiem niezgłębionych przepaści się pasły. Tu przed najdawniejszemi czasami, było miejsce czci słońca poświęcone, a starożytne podanie zrobiło je siedliskiem duchów. Wędrownik z trwogą omijał Ben, Gryanan. Omijał skałę na samym wierżchołku sterczącą, na której w samotnych przechadzkach najczęściej Maklod spoczywał. Ztąd wyciągał ręce ku stronie, która blaskiem wschodzącego słońca jaśniała. „Kiedyż i ja się uniosę — mówił do siebie — po nad te ciemne obłoki do szczęśliwszej krainy? weź mnie do siebie Oranię, weź najnieszczęśliwszego z wnuków twoich". Z natchnieniem mówił potem do synowca swojego :— „Tam Archibaldzie! tam jest piękniej niż u nas. tam gdzie wieczny dzień panuje, a smutne cienie, nie osłaniają światła prawdy."

Tak powracali do chaty ojcowskiej, lub noc trawili w jaskiniach Lukulinu, w których jeszcze za czasów Ossjana spoczywali synowie dolin. Przyzwyczajano się do jego życia, i wcale się nie dziwiono, choć na noc do chaty nie wrócił. Gdy wrócił mówił mało, pisał w dzienniku i znowu wychodził w góry.

Na dziesięć miesięcy przed mojem przybyciem, poszedł w góry według swojego zwyczaju z młodym Archibaldem. W jaskini przenocował, a nazajutrz wstąpił na Gryanan.

Upał był mocny. Cały dzień groźno zbierała się ciężka burza. Mój przyjaciel siedział wtenczas na najwyższej skale, gdy się z całą gwałtownością wywarła. Kropla deszczu nie upadła. Osobnych błysków nie można było rozróżnić. Całe niebo wydawało się ognistem morzem, a grzmoty i pioruny od skał powtarzane zmieniły się w nieustanne ryczenie. Zadrżał Archibald chociaż był mężnym i do burzy przyzwyczajonym. Maklod wziął go za rękę i rzekł: „Tylko źli ludzie lękają się pioruna, dla dobrych pocisk jego nie jest ziemskiem płomieniem, ale światłem z nieba, zkąd duch nasz pochodzi. Lauglan położył się na skale i pisał. Archibald obok niego zakrył sobie oczy bo burza zbliżała się coraz do nich, i nareszcie nad samemi głowami obwisła. Wtem od mocnego pocisku zadrżała cała góra. — Porwał się Archibald, spojrzy koło siebie. Stryj leżał blady i bez czucia. Wziął go za rękę. Zawołał na niego lecz mu nieodpowiadał. Ze drżeniem uciekł do dziadka i opowiedział smutne zdarzenie. Ryszard pobiegł na górę. Stary ojciec udał zię za nim, znaleźli Lauglana na ulubionej skale. Nie dawał już znaku życia ałe były ślady piorunu. Pochowano go na tem samem miejscu. To opowiedział mi ojciec Makloda. „Tak umierać było jego życzeniem — dodał — i to mnie pociesza”.

Wspomniałem na ostatnią naszą rozmowę w Edynburgu. Wziąłem za rękę młodego Archibalda.

Zaprowadził mnie na ponurą wysoką skałę. Przy niej był grób. „Oto jest Ben-gryanan, góra słońca — rzekł do mnie — Tu siedział mój stryj, tu spoczywa". Ukląkł, złożył ręce i modlił się. Łzy moje skropiły mogiłę.

Rysy młodzieńca przypominały mojego przyjaciela. Maklod w młodzieńczej postawie stał przedemną, przy grobie w którym spoczywał. W tem smutnem podobieństwie znalazłem pociechę. Wyryłem nasze imiona Lauglan i Edward na skale. Długo stałem w myślach zagłębiony, wreszcie porwałem Archibalda za rękę i poszedłem z nim do chatki. — Opowiadał mi o stryju wszystko co tylko w jego pamięci utkwiło. Prosiłem ojca żeby mi pozwolił wziąść go z sobą, a we dwa dni jak najraniej gdy jeszcze wszystko spało, wziąłem drogą pamiątkę Makloda, dziennik jego, a w towarzystwie Archibalda puściłem się w podróż. Często oglądaliśmy się na Gryanan, smutno szliśmy przez góry i łany, przebywali wzburzone jeziora, i teraz jeszcze w mojem spokojnem mięszkaniu obracamy często z Archibaldem, który jest pociechą życia mojego, obracamy tęschne oczy ku północy, ku tym górom, gdzie najcnotliwsza istota po długich cierpieniach nieszczęśliwej miłosci znalazła pożądany spoczynek na świętem siedlisku Bardów na Ben-Gryanan.